Nr. 11. Lwów, 1. czerwca 1901. Rok XXIV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

PIĄTY ZJAZD ŁOWIECKI.

Na posiedzeniu komitetu urządzającego strzelanie premiowe podczas zjazdu łowieckiego, odbytem d. 25 b. m. uchwalono regulamin strzelania, który zostanie podany już w najbliższym numerze „*Łowca*“.

Nowością jest wprowadzenie strzelania z pistoletów, które niewątpliwie zainteresuje wielu członków Towarzystwa.

Wydział Towarzystwa prosi pp. Delegatów, na których ręce wniesione zostały podania na konkurs o nagrody im hr. Potockiego, aby podania te jak najrychlej przesłać raczyli do Biura Towarzystwa.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu*).

(Dalszy ciąg.)

Pentarka sudańska należy do gatunku *Numida ptilorhyncha* i odznacza się rogowym, konicznym wyrostkiem na czubku głowy, a płatki na policzkach są pięknego błękitnego koloru; zresztą ubarwiona jest podobnie jak zwykła domowa perliczka. Stada ich, złożone z kilkunastu lub kilkudziesięciu sztuk, spotkać najłatwiej zrana, gdy ptaki jeszcze żerują, gdyż w miarę, jak upał się wzmaga, usuwają się one w gąszcze lub zasiadają na cienistych drzewach. Spotkaliśmy raz na łące między Abkuk i Dissą stado, które mogło liczyć od 250 do 300 sztuk. Spłoszone ptaki zrywały się partyami po kilka lub kilkanaście i zapadały niedaleko na ziemi lub na drzewach.

Pentarki, gdy się je zejdzie na czystem miejscu, nie podpuszczają zwykle bliżej jak na 60 do 80 kroków, na ten więc dystans trzeba je strzelać na ziemi. Gdy jednak dżungla podszyta jest gęstą trawą, zbliżyć się do nich można nieraz na kilkanaście kroków i wtedy do podrywających się strzał jest łatwy. Zrywają się zwykle z krzykiem, a przeleciawszy jakie sto kroków zapadają znowu.

Ptaki te odegrały w naszem życiu dżunglowem bardzo ważną rolę, pojawiały się bowiem zwykle dwa razy dziennie na naszym stole, raz z ryżem, to znowu z jarzynkami, pieczone lub gotowane. Mięso ich jest bardzo smaczne, mniej jednak delikatne i nie tak obfite, jak na perliczce domowej. Głównym dostawcą ich bywał Stefan: czy to w marszu, czy na polowaniu, gdy sygnalizowano stado pentarek, a nie zachodziła obawa spłoszenia jakiego grubszego zwierza, wołało się Stefana, który gdzieś z tyłu na swym osiołku ciągnął. Stefan szybko złazil ze swego wierzchowca, chyłkiem podkradał się do ptaków i strzelał: jeśli po strzale biegł szybko, był to znak, że coś zabił; w przeciwnym razie można się było spodziewać pudła. Bywało też, że Hrabia i ja biliśmy pentarki przy sposobności i tym sposobem w ciągu dnia padało ich 6, nieraz 8, co nam zapewniało przy mięsie antylop pożywienie na dwa dni. W ciągu całej wycieczki zabiliśmy ich około 60 sztuk, nie uganiając się bynajmniej za niemi, a często nawet wypuszczając okazye, gdy po temu ochoty nie było lub mając na widoku antylopy, czy gazelle.

W miarę, jak się oddalaliśmy od Senaaru, dżungla powoli zmieniała swój charakter, pojawiały się coraz częściej większe drzewa, a miejscami nawet jechaliśmy w cieniu, gdy droga ku rzece podchodziła. Drzewa to przeważnie akacyowe, najeżone długimi, lub haczykowatymi kolcami, które przy lada nieostrożnym ruchu rwą nam ciało i ułamują się, powodując często gęsto jątrzące się rany. Pod drzewami grunt jest nagi, lub pokryty trawą, do kolan wysoką, która w tej porze suszy, przybiera kolor niemal biały. Zobaczymy później, jak wygląda dżungla ku granicy abisyńskiej.

Na popasie południowym, jakiśmy nad brzegiem Nilu urządzili, spostrzegliśmy poraz pierwszy gniazda termitowe. Są to wielkie, zwykle koniczne, kopce, barwy szaro brunatnej. Niekiedy dochodzą kilkometrowej wysokości. Największe takie gniazdo widzieliśmy poza Riguebą; mogło mierzyć jakie 5 metrów wysokości przy takiejże średnicy podstawy. U góry kończyło się kulistą kopułą, nadającą tej dziwnej budowie charakter dzieła rąk ludzkich. Pod wieczór dostaliśmy się do osady Ardin, a następnego dnia, wyruszywszy o trzy kwandranse na 5-tą, dojechaliśmy o $11^1|_2$ w południe do znacznej osady Senga Wielka, gdzie na popas stanęliśmy u miejscowego mamura (naczelnika powiatu), rodem Egipcyanina; karawana przybyła dopiero o 1-ej, co wywołało silne niezadowolenie wśród właścicieli wielbłądów, którzy otwarcie zaczęli szemrać, że dalej tak nie pójdą. Sprawa została załatwioną w sposób bardzo prosty: mamur tak zamaszyście poczęstował głównego wichrzyciela, że się aż biedak na ziemię potoczył. Był to środek zbyt może radykalny, ale niezwykle skuteczny, bo od razu wszelkie szemrania ustały i później mieliśmy już aż do końca wyprawy spokój pod tym względem.

Gdyśmy siedzieli na werendzie, spostrzegliśmy na przeciwległym piaszczystym brzegu stado żórawi czubatych *(Balearica pavonina)*. Jest to z pewnością najpiękniejszy ze znanych żórawi: prawie czarny, z białemi skrzydłami i pięknym słomiasto-żółtym czubem na głowie. Czasu mieliśmy dosyć, więc poprosiliśmy mamura, czyby nam nie mógł jakiej łódki sprokurować, co tenże chętnie wykonał. Zjadłszy tedy śniadanie pojechaliśmy wielką krajową łodzią, mając ze sobą mannlichera i śrótówkę. Żórawie dały się zjechać na jakie 100 kroków, lecz na ten dystans strzały nasze nie odniosły żadnego skutku. Wracając miałem jeszcze okazyę strzelić do czapli olbrzymiej *(Ardea goliath)*, lecz również bez skutku.

W Sendze przyłączyli się jeszcze do nas trzej shikarisi, z których dwaj najęci poprzednio, a jeden nadetatowy. Ten ostatni, imieniem Abdallach, jest kuzynem Ahmed Idrisa, nawet podobny do niego, tylko o rysach bardziej aryjskich i w jego też mniej więcej wieku, t. j. lat około 55. Niezwykle przenikliwe oczy mają wyraz, jakby coś ciągle wypatrywały. W następstwie okazało się, że Abdallach był najlepszym ze wszystkich naszych łowców; nikt tak jak on tropu nie trzymał. Stale też towarzyszył hrabiemu na wycieczkach myśliwskich.

Dwaj inni byli to subalterni, raczej rodzaj strzelbonośców, niż shikarich, Jeden z nich, dodany mnie w charakterze pomocnika Mahomeda, miał na imię Ibrahim. Był to młody, dwudziestokilkoletni chłopak, o regularnych rysach i łagodnym wyrazie twarzy. Za czasów Kalify służył wojskowo, jako oficer derwiszów, a w bitwie pod Omdurmanem otrzymał 5 ran: cztery kule j jedno cięcie szabli po brzuchu. Lubiłem bardzo tego chłopca, bo był posłuszny, chętny i łagodny; towarzyszył mi też zwykle we wszystkich mniejszych wycieczkach, gdy mi jedynie chodziło o zabicie jakiej antylopy lub ptaszków do kolekcyi, co czyniło obecność Mohameda zbyteczną. Jako pozostałość po derwiszach nosił on koszulę, przepasaną w pasie, zwaną „giubba“ (dżiuba), a na głowie myckę płócienną. Trzeci wreszcie był to syn Ahmed Idrisa, młody chłopak do niczego, który w naszej wyprawie żadnej roli nie odegrał; nosił on jedną z broni hrabiego.

Tego dnia dojechaliśmy na nocleg do wsi Senga Wod Benin (Senga Mała) a następnego ranka, wyruszywszy o kwandrans przed 5-tą, dotarliśmy na godzinę 8-ą rano do osady Hellet-Tefik vis à vis Karkocz, które leży na prawym brzegu Nilu Niebieskiego. Hrabia zaraz

*) Z Łowca polskiego.

przeprawił się na drugą stronę, aby przyłapać jeszcze w domu Smith-bey'a, miejscowego mudira, do którego miał listy polecające. Anglik ten, osiadły od dość dawna w Sudanie i sam zapalony myśliwy, mógł nam dać drogocenne wskazówki co do dalszej marszruty. Smith dnia tego miał wyruszyć do Wod-Medani, więc zachodziła obawa, że go już w domu nie zastaniemy. Na szczęście obawy te były płonne i Shmith przybył z hrabią do naszego obozu, aby wspólnie z nami zjeść śniadanie.

Z godzinnej dyskusyi, jaka się co do naszej marszruty wywiązała, hrabia powziął następującą decyzyę. Zatelegrafował do Chartumu do kapitana Parkera z zapytaniem, w jakim mniej więcej czasie parowiec marcowy, idący z Fashody do Chartumu będzie przejeżdżał koło osady Renk na Nilu Białym. Gdyby odpowiedź była pomyślną, mieliśmy dotrzeć do Dissy, o pół dnia drogi od Roseires i stamtąd przedostać się do Renku. W przeciwnym razie z Dissy skierowalibyśmy się na północ do rzeki Dinder i tu wzdłuż niej poszlibyśmy na północ aż do Wod-Medani, w którem to miejscu Dinder wpada do Nilu Niebieskiego. Ten ostatni projekt miał wiele szans powodzenia, gdyż brzegi Dinderu są mało zaludnione, a tem samem zwierzyny ma tam być obfitość.

Pierwszy z dwóch projektów trzeba było wkrótce zarzucić, gdyż według depeszy Parkera, która nas dogoniła na jednym z następnych etapów, parowiec z Fashody miał być w Renku dopiero 26 marca, coby nam ledwie na koniec kwietnia pozwoliło wrócić do Europy, gdzie hrabia pragnął stanąć na święta Wielkiej Nocy. Pozostawało więc tylko albo iść Dinderem, albo wrócić tą samą drogą, którąśmy przyszli. Zobaczymy w następstwie, jak losy pokierowały naszymi krokami.

Tymczasem trzeba było śpieszyć, gdyż ciągle dochodziły nas wiadomości, że młody książę Arenberg, syn prezesa towarzystwa Kanału Suezkiego, idzie w nasze ślady forsownemi marszami. Pragnąc widocznie nas przegonić, Arenberg, wyruszył w parę dni po nas z Chartunu, kierując się do Wod-Medani drogą lądową, a nie Nilem, co co mu mogło zapewnić parę dni przewagi nad nami. Do tego nie podobna było dopuścić, gdyż wtedy książę byłby panem sytuacyi, skoroby się przed nami dostał do terenów myśliwskich.

Nie traciliśmy też czasu i tegoż dnia przed 2-gą po południu wyruszyliśmy z Hellet-Tefik pożegnawszy się ze Smith-beyem. Charakter okolicy zmieniał się stopniowo, roślinność stawała się coraz bogatszą, szczególniej w miejscach, gdzie droga nasza zbliżała się do brzegów rzeki. Zaczęły się pojawiać palmy wachlarzowe, które nadawały krajobrazowi charakter podzwrotnikowy. Trawa, jaką dżungla jest tu podszyta, stawała się miejscami tak wysoką, że się w niej człowiek z łatwością mógł schować. Z radością też zauważyliśmy, że osady ludzkie coraz się rzadziej trafiały, była więc nadzieja, że i zwierzynę nareszcie spotkamy.

Jakoż w godzinę może po wyjeździe z Hellet-Tefik, ludzie idący z tyłu zawołali na nas, że gazelle stoją. Podbiegliśmy do nich i w samej rzeczy, spostrzegłem ledwie widzialne w gąszczu dwie sztuki. Hrabia grzecznie ustąpił mi strzału, wziąłem więc mannlichera i przyklęknąwszy, strzeliłem. Jedna ze sztuk wywróciła się a gdyśmy do niej podbiegli, spostrzegliśmy, że kula przeszyła oczy na wylot. Była to mała antylopa z rodzaju zwanego przez Arabów „mora“ *(Oribia montana)*, bardzo rzadka po zbiorach europejskich, gdyż nawet British Museum posiada ją tylko w jednym egzemplarzu. Wielkości półrocznego koźlęcia sarny, jest cała barwy płowej. Samiec posiada proste rożki, 4—5 cali długie; samica jest bezrożna. Radość moja nie miała granic, gdyż była to pierwsza moja sztuka na afrykańskim lądzie, a przytem i strzał mnie uradował, gdyż dystans wynosił blisko 100 kroków. Zresztą jako myśliwi, obaj hołdujemy przesądom, cieszyło nas więc, że pierwsza sztuka strzelona padła, co było dobrą zapowiedzią na dalszy ciąg wyprawy.

Wypatroszywszy zabitą sztukę i przytroczywszy ją do wielbłąda, ruszyliśmy dalej. Pod wieczór wyjechaliśmy na otwartą łąkę, mogącą mieć z wiorstę lub półtorej w średnicy, w środku której widać było niewielkie, w znacznej części zarośnięte jeziorko. Gdyśmy tu podjechali, spostrzegliśmy mnóstwo błotnego i wodnego ptactwa: czaple, białe ibisy, czarne z białemi skrzydłami gęsi (*Plectropterus gambensis*), szczudłaki, kuliki, kaczki, cyranki etc. etc. Odtąd często spotykaliśmy podobne temu jeziorka. Leżą one zawsze w dolinkach, stanowiących niewątpliwie dawne łożyska Nilu. Woda w nich zbiera się podczas deszczów, a w porze suchej stopniowo wysycha. Wszystkie one odznaczają się niezwykłą obfitością wszelakiego ptactwa, między którem na szczególną uwagę zasługują: trzy gatunki żórawi (czubaty, zwykły i „panienka“), dwa gatunki ibisów (biały, czyli czczony i czarny), dwa gatunki gęsi (wspomniany *P. Gambensis* i bernikla — *Chenalop aexegyptiaca*), pelikany, czarne bociany *(Ciconia episcopus)*, i t. d. Niektóre z tych jeziorek są siedliskiem hypopotamów i stanowią miejsca wodopojów dla słoni, bawołów i wszelkiego rodzaju antylop. (D. c. n.)

Aklimatyzowane zwierzęta łowne*).

Napisał St. M.

Ciąg dalszy.

Zwierzyniec w Smolance, a właściwie w Proszowej, ma około 180 morgów obszaru i okolony jest siatką drucianą, wysoką na trzy metry. Rośnie w nim grabina, dębina, brzezina, osiczyna, klon i iwa — łąk jest około cztery morgi, lasu wysokopiennego 60 do 65 morgów — reszta krzaki. Wodę podają danielom w żłóbkach, ze studni znajdującej się w zwierzyńcu.

Zwierzyniec ten założony został w r. 1892. Daniele przeniesiono do niego z dawnego zwierzyńca, znajdującego się w samym Ostrowie. Dzisiaj stan danieli wynosi 90 sztuk. Od listopada do końca maja podają im karmę, a mianowicie ziemniaki, groch, owies, jęczmień, koniczynę, siano i różne pasze, jare, słomy, i to w takiej ilości, że na każdą sztukę wypada dziennie jeden kilogram paszy. Urządzone są także lizawki solne — w lecie od czasu do czasu dostają zieloną karmę, t. j. mieszankę. Rogi łopataczy ważą u rocznego daniela do 80 dekagramów —

*) Patrz Nr. 21 i 23 z 1900 i Nr. 1 z 1901.



u pięcioletniego dochodzą wagi 1 kg. 60 dg. i wyżej Rocznie pada około 50 sztuk — tego roku ubito i żywych sprzedano 90 sztuk.

W Rudniku, w powiecie niżańskim, istniał do r. 1897 zwierzyniec, w którym chowano 40 sztuk danieli, obok 30 jeleni, na przestrzeni 60 ha. Około r. 1883 sprowadzono cztery sztuki danieli i te w piętnastu latach rozmnożyły się do 40 sztuk Przed czterema latami sprzedano daniele i jelenie żywe do Czech. Chowały się zupełnie dobrze — nie przeszkadzały sobie nawzajem, chociaż skonstatowano fakt, że jelenie zawsze w osobnej części rewiru się trzymały. W zimie żywiono daniele sianem i dzikimi kasztanami. P. Nadleśniczy Fiedler, który nam daty te podaje, twierdzi, że galicyjski klimat odpowiada zupełnie danielom.

Nie ma najmniejszego powodu sądzić, żeby było inaczej. Według Bobiatyńskiego „płodziły się dawniej w lasach litewskich licznie daniele“ — że zaś klimat litewski nie jest łagodniejszy od naszego, dowodzić nie potrzeba. Reumann, pisząc o stosunkach Królestwa polskiego twierdzi, że daniel mógłby bezpiecznie być hodowanym w guberniach południowych. Pod tym względem nie byłoby zatem żadnej przeszkody w rozmnożeniu u nas danieli, ale tylko wolno chowanych — w zwierzyńcach przestaje bowiem daniel być zwierzyną, a jest tylko żywym i chodzącym celem dla strzelca, ale nie dla myśliwego. Jak już wspomnieliśmy, w Niemczech i na Węgrzech coraz więcej czynią doświadczeń w kierunku hodowania danieli w wolnych rewirach i rezultaty zachęcają tylko do coraz większego rozprzestrzeniania daniela, jako zwierzyny wolno żyjącej. Doskonały znawca tej zwierzyny, M. O. Hohenberg pisze o danielach: Daniele stanowczo mniej są rozpowszechnione, niż na to zasługują i jak tego interes podniesienia łowiectwa wymaga. Wyniki byłyby lepsze, gdyby się przestało daniele chować w zwierzyńcach, a pozwalało się im żyć w wolnych rewirach, choćby już z tego powodu, że daniel ma co do jakości rewiru mniejsze wymagania niż jeleń. Przez jakiś czas należałoby je trzymać w ogrodzeniu, żeby się do miejsca przyzwyczaiły. Jeżeli właściciel rewiru ma lojalnych sąsiadów, którzy do tych samych celów zdążają, to w krótkim czasie mogą się daniele rozpowszechnić w całej okolicy, przez co oczywiście sprawa hodowli daniela nabiera większego znaczenia. W tym kierunku dałoby się dużo zrobić dla łowiectwa krajowego — i najświetniejszym, przykładem tego jest mała Dania, która na niecałych czterdziestu tysiącach kilometrów kwadratowych, ma tyle danieli, że z nich znaczne korzyści ciągnie. W Niemczech zwierzyna ta, dotychczas dosyć zaniedbana, zyskała w ostatnich czasach także wiele na znaczeniu ekonomicznem, a mianowicie, wprowadzono ją do tych rewirów, w których dotychczas daremnie starano się wprowadzić jelenie, jako zwierzynę stałą. Że to samo można uczynić w całych Niemczech, a nawet w całej Europie, nie podlega żadnej kwestyi. W rewirach niebardzo wielkich, można w stosunkowo krótkim przeciągu czasu, wprowadzić bardzo przyzwoity stan danieli, tem bardziej, że pod względem pożywienia nie mają one takich wielkich wymagań, jak jelenie, i że żywienie ich zimą nie kosztuje tyle, co żywienie jeleni. Im jednak więcej daje się danielom pożywienia, tem mniej będzie się leśnik skarzył na szkody leśne. Wszystko to umożliwia nadanie w krótkim stosunkowo czasie jakiemuś mniejszemu rewirowi, w którym o hodowaniu grubej zwierzyny nie może być mowy, całkiem innego charakteru. A ponieważ najłatwiej przychodzi wprowadzić ten rodzaj bądź co bądź grubszej zwierzyny, skończy się z pewnością na tem, że rewiry ubogie w zwierzynę, będą musiały zwrócić uwagę na daniele, jeżeli będą chciały powiększyć wartość swojego prawa polowania.“

Dr. W. Wurm tak się w tej sprawie wyraża:

„Jeżeli daniel umie uszkadzać las — ale las, który tylko jednostronnie i według nienaturalnego szablonu jest zagospodarowany — to czyni o dużo mniejsze szkody na polach niż jeleń, jeżeli tylko ma choćby mierne pożywienie. Dla tego godzę się z Riesenthalem, i gorąco przemawiam za jego zdaniem, że w tych rewirach, w których z powodu ich szczupłości o hodowaniu jelenia mowy być nie może, powinno się wprowadzać daniele, które ze sarnami doskonale się znoszą. Mięso danieli i ich skóry mają o dużo większą wartość, niż mięso i skóry sarnie, a polowanie w wolnych rewirach jest bardzo przyjemne. W końcu daniele nie degenerują tak szybko, jak w ogóle upadające pod tym względem (w Niemczech) jelenie. Psychiczne właściwości daniela są bardzo miłe — wypływają one z jego wrodzonej wesołości. Jest on zawsze wesoło usposobiony, trzymają się go ustawicznie figle — przytem jednak nie

zapomina o ostrożności. Żyje towarzysko, większemi stadkami — straż powierzona jest zawsze kilku sztukom a chociaż nie ma tam takiego porządku i skrupulatności, jak u jeleni, są one dosyć ostrożne, do czego pomagają im bardzo ostre zmysły. Pomimo jednak ostrożności, jest daniel bardzo ciekawy i ta ciekawość gubi go. Myśliwy łatwiej podejdzie go świstając lub śpiewając, niż skradając się zupełnie cicho. Także zwyczaj, że daniele będące w stadzie, biegną prawie zawsze jeden za drugim, tym samym tropem, umożliwia myśliwemu strzał do jednej z ostatnich sztuk, jeżeli ruszywszy jedną sztukę, podskoczy jak najrychlej w najbliższe miejsce, którem pierwsza sztuka uciekała. Uciekając przed myśliwym lub psami, wprowadza ich daniel często w błąd kluczeniem, odskakiwaniem od tropu, lub przywarowaniem w krzaku. Nietylko wychowany koło domu daniel staje się bardzo łaskawym, ale także daniel zupełnie dziko żyjący — ze wszystkich gatunków zwierzyny, wytrzymuje on najlepiej życie w ogrodzeniu, i zastosowuje się do niego rychło, traci jednak przy tem żywość oka i ruchu, które jeleń nawet w ogrodzeniu zachowuje. Jeżeli jednak na daniela częściej się poluje, nie ustępuje on jeleniowi pod względem ostrości zmysłów, płochliwości, zgrabności i szybkości w ucieczce. Daniel ma charakterystyczny ruch ogona, którym po chybionym strzale, albo w ogóle podczas ucieczki, uderza silnie o talerz, wydając dość silny odgłos, jakby trzaskanie z bicza. Gest ten wygląda niekiedy na szydzenie z niezgrabnego strzelca. Trafiony, zwraca daniel bukiet na bok i trzyma go nieruchomo. Przed nagonką wychodzi daniel chętnie flanką i dopiero daleko od miotu, kryje się w gąszczu. Daniel jest inteligentniejszem zwierzęciem, niż powszechnie mniemają, i dla tego zalecam go opiece wszystkich, którzy mogą go w swoich rewirach hodować“.

Sądzę, że w większych naszych krajowych rewirach, próby chowania daniela dziko, byłyby uwieńczone pomyślnym rezultatem, a niewątpliwie przyczyniłyby się do ożywienia rewiru i do podniesienia jego łowieckiej i ekonomicznej wartości.

Dietrich aus dem Winkell podaje następujace rodzaje polowania na daniele:

1. Daniel zachowuje tak samo stale weksle, jak i jeleń. Zasiadka jest zatem bardzo pewnym sposobem ubicia daniela.

2. Przy pochodzeniu należy zachowywać się jeszcze ostrożniej, niż przy podchodzeniu jakiejkolwiek innej zwierzyny, gdyż daniel, szczególniej, jeżeli się w stadzie znajduje jest bardzo uważny i dostrzega łatwo każdy ruch. Łatwiej już go podejść, gdy się idzie w towarzystwie drugiego myśliwego, gdy się z nim rozmawia, albo jeżeli się gwiżdże, lub śpiewa. Niekiedy zdarzało mi się ubić danieia w sposób następujący: zdejmowałem kurtę i wydobywałem koszulę na wierzch, tak jak to mają chłopi. Ze strzelbą w ręku szedłem dalej. Daniele dostrzegły mnie zaraz i widziałem, że były zaniepokojone. Wtedy zacząłem śpiewać i zbliżałem się do nich w podskokach, jakby w tańcu. Daniele zaczęły wówczas także wesoło podskakiwać, nie uciekając, póki strzał mój, kładąc jedną sztukę na ziemię, nie dał znaku, że żarty się skończyły. O dużo łatwiej można zejść niepostrzeżenie pojedynczą sztukę, jeżeli się zachowuje trochę ostrożności i ma dobry wiatr, zdaje się bowiem, że rzeczywiście żerujący daniel nie natęża słuchu — patrzy jednak uważnie i trzeba się przed wzrokiem jego strzec.

3. Podchodzenie koło konia lub wozu udaje się prawie zawsze w okolicach, gdzie nie bardzo daniele są niepokojone.

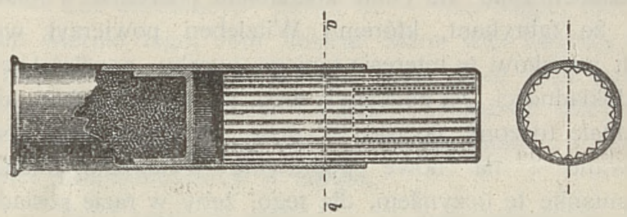
4. Kilku naganiaczy, jeżeli nie zawiele hałasują, może daniele wypchnąć na linię — jeden zręczny naganiacz zrobi to samo — nie może jednak zbliżać się do niego zanadto, bo spłoszony idzie dalej, niż jeleń.

6. Jeżeli się daniela postrzeliło, nie należy za nim zaraz iść. Powinno się mu zostawić dłuższy spokój, niż innej zwierzynie, dla tego, że albo idzie bez ustanku tak daleko, jak mu siły starczą, albo też forsowany przez tropowca, nie tak łatwo mu daje się ostanowić.

(C. d. n.)

Kule Witzlebena.

Wywiązując się z danego przyrzeczenia podaję niniejszem dokładny opis pocisku słupkowego Witzlebena, jakoteż przybitek miseczkowych tegoż wynalazcy.



Powyższy rysunek uwidocznia przekrój podłużny naboju z pociskiem słupkowym, na prawo zaś przekrój poprzeczny tegoż.

Jest to pocisk ołowiany, kształtu walca, za pomocą czopka o mniejszej średnicy ze słupkiem drewnianym złączony — słupek ten wpodłuż jest karbowany.

Sposób nabijania jest następujący: Nabiwszy łuskę, odpowiednią do kalibru ilością prochu, nakłada się niską przybitkę. na nią zaś pocisk słupkowy. Przy zupełnie poprawnem nabijaniu powinien tylko ołów z łuski wystawać, co najpewniej osiągnie się przez użycie przybitek miseczkowych, wynalezionych również przez Witzlebena, które poniżej opiszę.

Pocisk ołowiany tak jest sporządzony, że lekko wchodzi do luf walcowych lub zwykłych chocke-borów. Średnica słupka drewnianego, bez karbków, jest mniejszą od średnicy pocisku, włącznie zaś z karbkami odpowiada przekrojowi przybitek odnośnego kalibru, przeto słupek wsunięty w łuskę szczelnie do ścian tejże przylega. Do bardzo silnych chocke-borów (full chocke) robią specyalne pociski.

Ażeby się przekonać, czy danego pocisku można do swej strzelby użyć, próbuje się najpierw, czy ołów do luf lekko wchodzi, następnie wciska się słupek drewniany do ujścia lufy na kilka mm. i otworzywszy strzelbę, patrzymy przez lufy pod światło od strony zamków. Pocisk powinien się przedstawić jako regularna gwiazdka, gdyż przez rowki między karbkami, przegląda światło. Jeżeli światło nie przegląda, pocisk jest za silny.

Słupek sporządzony jest z odpowiedniego elastycznego drzewa. Karbki przebiegające lufę łatwo się poddają podczas strzału i w ten sposób wyrównują znane niedokładności w wierceniu luf, śrótowych i zastępują niejako proste ciągnienie luf. Jeżeli lufy są po poprzednich strzałów zadymione, podnosi to jeszcze celność tych pocisków.

Przednia i tylna płaszczyzna pocisku są prostopadłe do osi podłużnej pocisku a każdy punkt w obwodzie słupka równo jest oddalony od tejże. To właśnie umożliwia prowadzenie pocisku w powietrzu, gdyż powietrze ściśnięte płaską głową pocisku zmuszone jest przebiegać rowkami słupka i zastępuje niejako prosto ciągniętą lufę.*) Jako dowód powyższego twierdzenia może służyć ta okoliczność, że w papierze zawieszonym na odległość 60 m. otwory strzałowe są tak regularnie okrągłe, jakby ostrym krążkiem wycięte. Własność ta pocisku ma w praktyce myśliwskiej jeszcze to ważne znaczenie, że płaska głowa pocisku, prosto uderzając, znaczny w zwierzynie wybija wlot; i we wnętrzu zwierzyny nie łatwo z pierwotnego kierunku zbacza. Naturalnie, że aby celnie pociskami tymi strzelać musi śrótówka dokładnie podług wizury strzelać, co przy tych strzelbach nie zawsze się zdarza. Przy ostrzeliwaniu należy oddać seryę z dziesięciu lub piętnastu strzałów a dopiero potem oglądnąć rezultat, nie zaś zapowiadać każdy strzał z osobna.

Od niedawna zaczęły się pojawiać skargi na te pociski. Witzleben zajął się pilnie zbadaniem przyczyn i pokazało się, że fabrykant, któremu Witzleben powierzył wyrób tych pocisków w interesie taniego wyrobu, popełniał pewne niedokładności. Na podstawie tego, polecił Witzleben, ażeby niedbale toczone pociski w razie ich zwrócenia, przyjmowano i na nowe poprawnie wykonane mieniano. Wzmiankę tę uczyniłem, dla tego, żeby w razie posiadania błędnie wyrobionych wspomnianych pocisków przez którego z czytelników „*Łowca*“, ochronić go od szkody a nie zniechęcić do tych, bądź co bądź praktycznych, pocisków.

Często zdarza się, że przy strzale gazy prochowe przedostają się pomiędzy ściany przybitki i lufy do śrótów i rozrzucają je jużto w jedną, jużto na wszystkie strony, przez co w drugim wypadku w środku strzału powstaje próżnia. Temu zapobiega przybitka miseczkowa.

Kształt jej widzimy na rysunku. Do niej należy krążek pędzący (Treibspiegel).

Przy strzale uderzają gazy we wklęsłość przybitki, przyciskają jej boki do ścian lufy i wypełniają w ten sposób szczelnie lufę. Taką przybitkę miseczkową nakłada się na proch, wklęsłością ku prochowi, na nią zaś daje się krążek pędzący a następnie tyle śrótu, żeby można jeszcze łuskę dobrze zakreślić. Myśliwi używają zwykle, równych, co do pojemności, ilości prochu i śrótu, przy użyciu zaś tych przybitek można dać więcej śrótu, jak wyżej, a strzał nic traci nic ze swej ostrości i dalekonośności.

Do nabijania tych przybitek trzeba używać specyalnej maszynki.

Tak pocisków słupkowych jak i przybitek miseczkowych dostać można u Adolfa Schmidta w Asch w Czechach.

*) Mojem zdaniem słupek drewniany inaczej tu działa a mianowicie tak, jak działa brzeszczot przy strzałach łukowych.

Używam przybitek miseczkowych specyalnie w nabojach na ptactwo i jestem z nich bardzo zadowolony. Przy nabojach z grubszym śrótem wkładam na miseczkę zamiast przynależnego krążka przybitkę pilśniową, co daje strzał szczególnie ostry. *M. K.*

O legowisku psiem i o obroży.

Bardzo często powodem chorób skórnych u psów jest — nieodpowiednie „leże“ (legowisko, posłanie). Zwykle psy sypiają na kocach, suknach, flanelach, dywanikach, sienniczkach i t. p. materyałach, które są siedliskiem wszelkiego rodzaju mikrobów, pomimo częstego trzepania i wietrzenia; trzepiąc tylko z wierzchu materyału wydalamy kurz, głębiej zaś bakterye pozostają. Gdy więc pies dłuższy czas sypia na podobnem posłaniu rzucają się nań najczęściej liszaje, źródło zaś tej choroby tkwi naturalnie w niestosownem posłaniu. Powinniśmy się zatem usilnie starać o to, ażeby „faworyt“ nasz miał dla siebie odpowiednie, bezpieczne „legowisko“. Najlepszem i najzdrowszem legowiskiem dla psów, jest składany stołek o dwóch krzyżujących się parach nóg dowolnej wysokości, naturalnie stosownie do wielkości psa. Każda para nóg powinna być na wierzchu połączona z sobą wałkiem średnicy około $1^{1/2}$ cala. Na te dwa wałki naciąga się zwyczajne płótno. Kawałków takich płótna powinno być kilka na zmianę. Jak się tylko jedno cokolwiek zbrudzi, winniśmy natychmiast drugie nałożyć, a brudne należycie wyprać. Przypuszczam, że wystarczającem jest zmieniać płótno 2 razy w tygodniu, n. p. w środę i sobotę. Niezależnie zaś od zmiany trzeba płótno dezinfekcyonować często, skrapiając lekko wodą karbolową. Podobne „leże“ ochraniać będzie psa od uporczywych liszajów, nas zaś od kłopotów i wydatków, jakiebyśmy mieli, widząc faworyta naszego chorym. A i obrożę należy często dezinfekcyonować wodą karbolową i zważać, aby zupełnie luźno spoczywała psu na szyi, gdyż zbyt silne ściśnięcie powoduje najpierw wypadanie sierci, potem zaś liszaj. Podczas polowania stanowczo obroża jest wyżłowi niepotrzebna, gdyż tamuje mu swobodę ruchów i hałasuje t. j. często brzęczy, przez co straszy zwierzynę. Mojem zdaniem obroża dla ładnego, rasowego psa, choćby w porze ogórkowej, zupełnie nie potrzebna, gdyż tylko bez obroży widzimy kark, szyję, podgardle, stanowiące u ładnego wyżła główne cechy czystej krwi, obroża zaś wszystko to nam zasłania. Jeśli zaś jest ona rzeczywiście niezbędną. n. p. gdy prowadzimy młodego psa w pole, lub w t. p. wypadkach, wtedy używać powinniśmy zwyczajnej gospodarskiej obroży t. j. kawałka mocnej skóry (kolor zależny od upodobania) z kółkiem do karabińczyka i z kawałkiem blachy do wygrawerowania imienia psiego. To ostatnie potrzebne zwłaszcza w mieście. Taka obroża jest dla psa myśliwskiego najładniejsza, najodpowiedniejsza i najbezpieczniejsza. Najbezpieczniejsza dlatego, gdyż obroże ozdobne z różnymi łebkami psimi, kółkami etc. etc. podczas tego, gdy pies

drapie się w szyję, kaleczą mu łapy, ponieważ pies drapiąc się zawadza o te różne ozdoby, — są więc niebezpieczne. Obroże ozdobne dobre jedynie być mogą dla psów pokojowych t. j. dla różnych dogów, pinczerów etc., które to psy często są kąpane i czesane codzień, nie mają więc pcheł. Lecz psy myśliwskie są jakoby prości żołnierze podczas pochodu, znoszący wszelkie trudności i niewygody długiego marszu — one więc nie znają podobnych wygód, męczą ich zatem dokuczliwe pchełki, a tu obroża drapać im się nie daje. Czystość jest niezbędną dla zdrowia tak u ludzi jak i u zwierząt, więc i wyżły (w ogóle psy myśliwskie) od czasu do czasu powinny być kąpane, raczej myte dobrze zwyczajnem mydłem w zimnej wodzie latem, — letniej zimą. Zwracać przytem należy uwagę, aby zimą po kąpieli pies na dwór nie wyszedł, gdyż może uledz paraliżowi. Częściej powinniśmy myć psy o długiej sierci, aniżeli o krótkiej, a czesać codzień o ile możebne. Ze względu na niebezpieczeństwo jakie mogą sprowadzić ozdobne obroże, dla psów myśliwskich stanowczo powinny być one wykluczone.

Stefan Ostrowski.

TAVOLAZZO W PIEMONCIE

I POLOWANIE NA CIETRZEWIE W ALPACH w roku 1825.

Przez MARKIZA de FOUDRAS.

(Wolny przekład z francuskiego przez A. TYSZKIEWICZA).

(Dokończenie).

W kilka minut dostaliśmy się na szczyt lodowca i znaleźliśmy się na płaskowzgórzu, pokrytem trawą i krzakami gęstymi.

— Teraz cicho, — szepnął Titano podczas gdyśmy odpinali łyżwy i uwalniali się od sznura nas łączącego — ja pójdę na zwiady.

Położył się na brzuchu i znikł w krzakach, nie czyniąc więcej szmeru niż wąż sunący się trawą.

Po kwadransie wrócił a cztery palce, które z miną tryumfującą podniósł w górę, dały nam do zrozumienia że widział cztery sztuki.

Położyliśmy się więc jak i on, posuwaliśmy się na lewej ręce, w prawej ręce trzymając strzelby. Rozumie się, że Titano nas prowadził, ja zaś tuż za nim się posuwałem.

Zatrzymał się i podniósłszy się na dwa kolana, rozsuwać zaczął ostrożnie gałęzie krzaku i dał mi znak bym patrzał.

Znajdowaliśmy się na brzegu płaskowzgórza — a o 200 stóp mniej więcej pod nami otwierała się mała dolinka, na której pasły się cztery koziorożce.

Piątego który stał na szczycie skały znacznie dalej jako straż, odrazu zoczyłem, bo się od nieba odcinał, gdy tymczasem jego towarzysze na tle ciemnej łąki, mniej byli widoczni.

— Oprzyjcie lufę na mem ramieniu — szepnął mi Titano do ucha — i poślijcie kulę temu staremu łajdakowi, który na czele trójki postępuje. Jestem zły na niego, bom go już dwa razy chybił; poznaję go po nadszczerbionym rogu lewym, który moja kula uszkodziła. Śpieszcie się! szepnął żywiej. Straż już nas zwietrzyła zaraz gwizdnie i będzie po polowaniu...

Zmierzyłem się i strzeliłem.

W chwili strzału strażnik wydał krzyk ostry i znikł jak błyskawica; powstaliśmy od razu jak jeden mąż.

— Brawo! Brawo! Signor Marchese! wykrzykiwał Titano wyrzucając czapkę w górę — I cóż! czyście jeszcze zmęczeni.

Trzy koziorożce umknęły, nie wiem którędy i jak; lecz czwarty, do którego strzeliłem, tarzał się w konwulsyach ostatnich.

Rzuciliśmy się po pochyłości prawie prostopadłej na dół lecz miękkiej, i w mniej niż w pół minuty byliśmy przy mej zwierzynie. Kula ma uderzyła w grzbiet i brzuchem wyszła, co tłómaczy pozycya z której strzelałem.

Titano był w uniesieniu. Wziął kozła na plecy i zaczęliśmy się spuszczać po łagodnie wijącej się ścieżce w dół. Zaczynało się ściemnić.

Titano mnie nie zawiódł, gdyż w krótszym czasie niż można się było spodziewać, doszliśmy do chaty i co prawda poczciwiec starał się nam drogę skracać mnóstwem anegdot myśliwskich; jedne ciekawsze niż drugie; w końcu czy tak czy owak, sprawił to, że dochodząc do chaty jego byłem mniej zmęczonym, niż godzinę przedtem.

— Cóż excelencyo! mówił mi — idąc ciągle, dotrzymałem wiernie tego, com obiecał. Mam więc nadzieję, że jak przyjedziecie znów do naszego kraju, będę miał waszą wizytę... tylko nie trzeba zwlekać — ciągnął dalej na poły z obojętnością, na poły z melancholią — gdyż wkrótce zabraknie oliwy w lampie.

— Bah! przerwał markiz — ty nas wszystkich pochowasz jeszcze, jak się uprzesz; znam ciebie przecie już 20 lat i zawsześ ten sam.

— Ależ bo widzicie excelencyo! dwadzieścia lat temu już byłem bardzo starym i wtenczas właśnie zacząłem zapominać o ilości mych lat.

— A przecież, założyłbym się, żeś najmniej zmęczony z nas trzech.

— Przyzwyczajenie, Signor Marchese, ale jak raz stanę, jestem pewny, że padnę od razu.

— Słuchaj — ciągnął dalej markiz — sądzę, że moja propozycya znajdzie u ciebie uznanie.

— Wasza excelencya wie...

— Nie przerywaj: czy przypominasz sobie coś mi obiecał?

— Porządny człowiek ma tylko jedno słowo; od jutra powiem addio na zawsze kontrabandzie.

— Otóż to; coż ci więc przeszkadza u mnie zamieszkać.

— Opuścić me góry, excelencyo! Jesteście bardzo dobrzy; ależ to by to samo było, co mię odrazu na cmentarz zawieść.

— Wracałbyś od czasu do czasu w odwiedziny do nich.

— To nie to samo excelencyo! Znam się: widzicie potrzeba mi tego ostrego powietrza, tej samotności a przedewszystkiem swobody.

— Och co do tego miałbyś ją tak samo u mnie jak i tu.

— Wiem żebyście mnie nie żenowali, lecz ja sam bym się żenował, co na jedno wyjdzie, Signor marchese.

— Jesteś starym warjatem, przerwał zniecierpliwiony markiz. — Zawsze się jest waryatem excelencyo, gdy się nie jest mądrym na sposób innych.

— Coż się z tobą stanie, gdy zachorujesz, naprzykład.

— Ależ excelencyo, nigdy nie będę chorował.

— Przecież dopieroś mówił o rychłej twej śmierci.

— O! to jest zupełnie co innego!...

Właśnie przybyliśmy na miejsce, co rozumie się zakończyło naszą rozmowę. To mię trochę zgniewało, byłem zaciekawiony, jakby też Titano swą teoryę rozwijał co do śmierci przy dobrem zdrowiu.

Zastaliśmy na progu chaty strzelca markiza, który nas wraz z psami naszymi oczekiwał. W ten sposób nasze poczciwe psiska szczęśliwie odbyły powrót i w najlepszej bowiem zgodzie. Pies markiza, który nam uciekł, schował się ze wstydu w szopie przy naszych mułach.

Były już gotowe do drogi, ale oprócz tego, że nie byłoby bezpiecznie teraz puszczać się w drogę do Pignerol, potrzebowaliśmy straszliwie odpoczynku, i ze skwapliwością przyjęliśmy zaproszenie Titana, by przepędzić noc u niego: proponowaliśmy mu, by zostawił przygotowania do wieczerzy służącemu naszemu i odpoczął razem z nami, ale się za nic nie zgodził i tylko pozbywszy się swej olbrzymiej ładownicy zakrzątnął się koło przygotowań do wieczerzy tak samo żywo, jakby wcale dziś nie chodził na polowanie.

Podczas, gdy tam i napowrót chodził, uśmiechając się, grymasy strojąc, przymrużając oczy i rozmawiając od czasu do czasu ze sobą, nie traciliśmy go z oka, markiz i ja, i zauważaliśmy, że pies jego wodził ciągle wzrokiem za nim.

To było oczywiście ciekawem, widzieć tę przyjaźń i gorliwość między psem i panem.

— Tak jak ich widzisz — rzekł im markiz — włożyłbym rękę w ogień, iż obaj już myślą tylko o dzisiejszej nocy.

— Dużom niezrozumiałych rzeczy widział od wczoraj, ale zaprawdę to już byłoby za dużo, — odpowiedziałem. — W zasadzie, rozumiem, iż pies wie, że głos puszczyka jest oznaką przejścia przemytników; rozumiem, chociaż z trudnością, że poznaje w pastuszce, osobę mającą go śledzić, ale jak można przypuścić, by zwierzę mogło przeczuwać zdarzenie, niczem się jeszcze nie objawiające? To zupełnie to samo, jakbyś twierdził, iż jest zdolnym przyczytać list.

— Jak chcesz, mój kochany; ale jestem prawie pewny tego co mówię. Przypatrz się z uwagą, i wytłomacz inaczej tę milczącą między nimi rozmowę.

— Nic łatwiejszego: Titano przygotowuje wieczerzę a Torquato będąc głodnym prosi o cośkolwiek do zjedzenia.

— Gdyby tak było, to zamiast okiem wodzić, chodziłby za nim, by coś chwycić: on pyta, lecz nie prosi.

Przypadek chciał, że właśnie Titano wyjął z kredensu pasztet rozpoczęty przez nas rano i kilka okruchów upadło na ziemię; byłoby to doskonałą okazyą dla Torquata, przecież nie ruszył się i tylko mój Soliman oczyścił w mgnieniu oka podłogę.

— Widzisz? zapytał markiz.

— To prawda! Titano jest czarownikiem a pies jego duchem, usługującym mu.

— Podano do stołu, excelencyo! — rzekł nam Titano, wskazując stół, który bez przesady uginał się od nagromadzonych potraw.

Usiedliśmy we trójkę i Titano począł nam usługiwać, jak to i rano już czynił.

— Słuchaj mój stary — rzekł mu markiz. — Masz może co do roboty, w takim razie nie przeszkadzaj sobie. Gdy sobie podjesz, zostaw nas w towarzystwie tych o to butelek i idź, dokąd cię obowiązek woła. Gdy bawisz się jeszcze w przemytnictwo, rób rzecz sumiennie; tylko przestrzeż tych ludzi, że to już ostatni raz.

— Excelencyo, chwila jeszcze nie nadeszła — odpowiedział Titano rzuciwszy okiem na zegar, który wskazywał ósmą godzinę — i dodał — może się zdarzyć, że się spóźnię lub też przejdą którędy indziej.

— A wtenczas?

— Wtenczas Signor Marchese, będę zwolniony z obietnicy danej im i jakby żądali usługi na jutro, lub pojutrze, dam im znać, by na mnie nie liczyli.

— Jesteś uczciwym człowiekiem! wykrzyknął markiz Nora podając rękę staremu. — Dlatego opuszczając cię, będę tak spokojnym o ciebie, jakbyś był ze mną.

— Będziemy się trochę nudzili, pies mój i ja, podczas długich wieczorów zimowych, lecz pomyślawszy, żem spełnił to, o coście prosili, położę się zadowolonym. Za wasze zdrowie excelencyo: za wasze też, Signor Marchese, — ciągnął Titano zwracając się ku mnie.

Podnieśliśmy nasze szklanki, by się trącić z naszym gospodarzem, gdy pies jego dotychczas siedzący przy kominie, z oczami wlepionemi w swego pana, podszedł nagle do stołu i położył głowę na brzegu tegoż.

Podałem mu kawałek chleba umoczonego w sosie, lecz go nawet nie powąchał.

— Ach! Ach! mruknął kłusownik — bestye będą punktualnie.

Ledwo skończył, gdy pies jakiś zaskrobał do drzwi. Myślałem że to pies markiza; lecz gdy Titano otworzył wszedł kundelek czarny, wyglądu strasznie nędznego: prawdziwy piesek ślepca jakiego.

— Żadnej wątpliwości więcej, — rzekł Titano niekontent — na honor mój, obyłbym się bez tego.

— Przechodzą więc stanowczo? zapytał markiz.

— Chcą przejść, excelencyo, — przysyłają mi Montona, by im dać znać czy przejście wolne.

— A jakżeż będziesz wiedział o tem?

— Pójdę i przekonam się — zaraz to zrobię.

— Czy długo będziesz nieobecnym?

— Najwyżej pół godziny. — Jedzcie powoli, nie wypijcie wszystkiego, a wrócę wkrótce wypić zdrowie biednego Volenti z wami, którego na dudka wystrychnę, choć jest sprytnym.

— Bądź ostrożnym — przerwał markiz z akcentem prawdziwej troski, widząc starego biorącego jedną ze strzelb wiszących nad okapem komina — byłoby ciężko dla twej ostatniej wycieczki...

— Nie bójcie się nic, excelencyo. To co mam robić, to rzecz najłatwiejsza w świecie. Przejście niebezpieczne, znajduje się o 10 minut stąd i nie jest dłuższem nad 300 kroków. Stanę u wejścia; Torquato zrekognoskuje okolicę a jeźli nic podejrzanego nie znajdzie, ostrzeże tamtych, którzy spokojnie pójdą dalej.

— Więc pocóż bierzesz strzelbę?

— Nigdy się bez niej nie ruszam: ale od 15 lat jak to rzemiosło uprawiam, nie miałem przyczyny ani razu się złożyć. Do widzenia wkrótce excelencyo — dodał Titano zwracając się ku drzwiom.

— A kundelek? zapytałem.

— Poszedł już donieść im, że mnie zastał na mym posterunku; nigdy dłużej rozmową się nie zabawia.

Podnieśliśmy się, by towarzyszyć do progu staremu i przy świetle księżyca, którego żadna chmurka nie zasłaniała, ujrzeliśmy go zapuszczającego się ścieżką, którąśmy rano na polowanie wyruszali.

— Myślę, że ma już dosyć swego rzemiosła, rzekłem do markiza — i sądzę iż jest ci wdzięcznym, żeś go zmusił do wyrzeczenia się go. Daj Boże, by się to wszystko dziś dobrze skończyło.

— Mam nadzieję — odpowiedział markiz — ale przecież wolałbym, by biedaczysko był już z powrotem. Ten Volenti to sprytna bestya, zdawało mi się, gdy nas rano opuszczał, że miał minę strasznie zadowoloną.

— Tem bardziej myślę, że nic nie wiedział: gdyby był coś zwietrzył, nie byłby się koło nas kręcił i nie prosiłby nas, byśmy Titanowi powtórzyli rozmowę. Sądzę raczej, że będąc zmuszonym w inną stronę się udać, chciał starego naszego przestraszyć, by dzisiejszej nocy zachował się spokojnie.

— Może masz racyę! zawołał markiz. To z pewnością jedyny powód jego groźb. Teraz kiedyś mię uspokoił, siadajmy do stołu, by cierpliwie móc wyczekać powrotu Titana. Mówił przecie, że dłużej nie zabawi niż pół godziny a połowa tego czasu już minęła.

Podczas tej rozmowy oddaliliśmy się trochę od chaty, którą nierówność terenu na chwilę przed nami zakryła: można sobie wyobrazić nasze zdziwienie, gdy za powrotem usłyszeliśmy rozmowę wewnątrz chaty, gdzieśmy tylko naszego służącego zostawili.

Przyśpieszyliśmy kroku i oprócz naszego strzelca, zastaliśmy jeszcze dwie osoby w chacie, a byli to brygadier Volenti i strażnik Rawina.

Grzecznie nam się skłonili, a pierwszy przemówił do markiza:

— Excelencyo, bardzo mi przykro was tutaj odnaleść, gdyż ludzie moi przyprowadzą bezwątpienia zaraz tego upartego Titana, którego chwycę na gorącym uczynku: mam 25 ludzi tutaj rozrzuconych, byłoby to prawdziwie cudownem, by nam uszedł.

— Czyście pewni brygadierze, — zapytał markiz — że banda przemytników ma w pobliżu tutaj dziś się przekraść?

— Zupełniem pewny, excelencyo, jeden z nich zdradził ich już wczoraj.

— Wiecie przecie, że to znany ich wybieg, dać się śledzić na jednem miejscu, gdy drugiem przychodzą.

— Jestem pewnym swego, excelencyo — i gniewa mię to, gdyż wolałbym, żeby ten człowiek nie był nic winien.

— To tylko od was zależy.

— Jak to excelencyo?

— Zamknąć oczy, gdy go wam przyprowadzą.

— Przykro mi odmówić excelencyi; ale to niemożebne. Zrobiono by donos na mnie jak na Broschiego, mego poprzednika i straciłbym miejsce.

— Posłuchajcie Volenti — podjął znów markiz poważnie. Titano dał mi słowo honoru, że od jutra nie będzie miał żadnych stosunków z przemytnikami: jeźli więc przypadkiem będzie dziś wieczór skompromitowanym, darujcie mu ten raz.

— A jak zadenuncyują mię excelencyo?

— Podejmuję się załatwić wprost tę sprawę z królem i pojadę nawet zaraz jutro do Racconigi, gdzie właśnie przebywa.

— Excelencyo, nikt nie powie, że żołnierz piemoncki, który widział markiza de Nora w bitwie pod Genuą w roku 21, (rewolucya w Piemoncie w r. 1821), odmówił mu czegośkolwiek; jeżeli stary Titano będzie przychwyconym, nie spiszę protokołu; ale rozumiecie to excelencyo, pod warunkiem, że przestanie nadal...

— W jego imieniu ręczę.

— To mi wystarcza, excelencyo, przebaczcie nam żeśmy wam przeszkodzili; idę zrobić patrol tu w okolicy; gdyby podczas mej nieobecności, przyprowadzono waszego protegowanego, powiedźcie mu, cośmy ułożyli; wkrótce powrócę.

Volenti i Rawina zasalutowawszy wyszli.

— Otóż! Chwała Bogu sprawa załatwiona! wykrzyknął Nora.

— Biedny Titano dobrze się wykręcił. Jakie to szczęście, że mi przyszło do głowy to polowanie. Wypijmy na zdrowie Volentiego.

— Excelencyo, będziecie łaskawi i moją szklankę napełnić, rzekł jowialny, niski, głos za nami.

Obróciwszy się, ujrzeliśmy Titana otrząsającego nogi z rosy na progu chaty.

— Jakto nie schwycili cię? zapytał żywo markiz.

— O mały włos z dziesięć razy, ale Torquato szedł przedemną i pomógł mi zasadzki wyminąć. W tej chwili banda już musiała przejść, a raz w grotach Velletri, wszyscy strażnicy całych Włoch nie znaleźliby towarów. Możemy teraz spokojnie skończyć wieczerzę.

— A twój pies? spytał markiz.

— Zaraz powróci, przeprowadza ich do końca wąwozu dla większego bezpieczeństwa.

— Bardzo mi nieprzyjemnie, że z tobą nie powrócił.

— Dla czego excelencyo? zapytał Titano głosem ponurym, kładąc rękę na kolbie strzelby, którą właśnie na swem miejscu powiesił.

— Bo gdyby Volenti lub który z jego ludzi go spotkał, mógłby...

— Go zabić! ryknął Titano. Excelencyo idę naprzeciw poczciwego pieska.

I chwycił na nowo strzelbę w ręce.

— Przyjacielu, jeźli spotkasz Volentiego na swej drodze, nie zrób awantury, mam jego przyrzeczenie, gdybyś był schwytanym, że ci procesu nie zrobi: widzisz że to porządny człowiek.

— Nie przeczę, excelencyo; lecz idę na spotkanie mego psa i do widzenia, to najwyżej kwandrans potrwa.

I znikł na nowo.

Pozostaliśmy z markizem, zamyśleni, milczący i instynktownie przygnębieni; choć nie było czego, bo przecie wszystko było załatwione.

Naraz zerwaliśmy się z krzeseł, jak piorunem rażeni; dwa strzały jeden po drugim zagrzmiały w pobliżu a w jednym z nich bez trudu można poznać było grzmot olbrzymiej rusznicy Titana.

Rzuciliśmy się na ścieżkę prowadzącą w dół do doliny, bo tam brygadjer poszedł a za nim i stary kłusownik.

Nie zrobiliśmy i 200 kroków gdy spotkaliśmy Titana, ale w jakim stanie!

Biedaczysko siedział skulony na ścieżce i podtrzymywał głowę swego ślicznego setera, którego ciało drgało w ostatnich przedśmiertnych konwulsyach.

— Któż popełnił ten podły uczynek! zawołałem oburzony.

— Nie wiem, excelencyo, — odpowiedział Titano głosem złamanym boleścią, ale jeźliś ciekawy, tam o 40 kroków na lewo poszukajcie w krzakach jałowca.

— Nieszczęśliwy! zabiłeś człowieka! wykrzyknął markiz.

— Strzelono do mego psa, więc dałem ognia do tego, co strzelał.

— Puściliśmy się we wskazanym kierunku i przybywszy do jałowców po pierwszych zaraz krokach potrąciliśmy o ciało bez ruchu, wyciągnięte, twarzą do ziemi leżące.

Podnieśliśmy je spiesznie i odwrócili je a przy świetle księżyca poznaliśmy na pierwszy rzut oka Volentiego.

Kula przeszyła mu czoło, śmierć musiała być natychmiastową.

Ze zgrozą opuściliśmy ciało i zmięszani zapytywaliśmy siebie, co teraz robić.

Rzeczywiście nie wiedzieliśmy; lecz tośmy zrozumieli, że Titano będzie aresztowanym a wtedy...

Rozległy się w około kroki i zobaczyliśmy zbliżających się ludzi, którzy nas otoczyli: byli to podwładni Volentiego, którzy rozrzuceni po okolicy, zbiegli się na strzały.

Rawina zabrał głos, mówiąc, że to nie my zabiliśmy brygadyera, że nie trzeba więc nas niepokoić z tego powodu.

Czterej ludzie wzięli trupa nieszczęśliwego Volentiego na barki i podążyliśmy do chaty Titana.

Gdyśmy przekraczali próg, połączył się z nami Titano, niosący zabitego swego psa.

— Titano, jesteś naszym więźniem — rzekł mu Rawina — będziesz przez noc strzeżonym, a rano odprowadzonym do więzienia.

Zabiłeś człowieka, który obiecał cię oszczędzać.

— Lecz nie oszczędził mego psa, — zamruczał ponurym głosem stary kłusownik.

Rzekłszy to usiadł na ziemi przed kominem. Położywszy psa swego na kolanach i oparłszy na nim ręce pozostał nieruchomym.

Ciało brygadyera złożono w kącie i pokryto płaszczem; strażnicy zaś spokojnie wzięli się do naszej przerwanej kolacyi i za nas ją skończyli, poczem oprócz jednego strażnika, wszyscy się pokładli pokotem i zasnęli.

Będąc pewni, że w niczem nie możemy pomódz na razie Titanowi, uczyniliśmy to samo. Chcieliśmy towarzyszyć Titanowi do Pignerol a stamtąd udać się do Racconigi, do króla, by wybłagać łaskę dla winowajcy.

Spaliśmy mało i źle. Na długo przed wschodem byliśmy na nogach; dogasająca lampa słabo oświetlała pokój.

Głuche milczenie zalegało chatę i okolicę; nie słychać było nic, oprócz kroków strażującego strażnika po za progiem.

Titano był w tej samej pozycyi i na tym samem miejscu jak wieczór usiadł, głowa spuszczona i ręce oparte na ciele psa swego.

— Chwała Bogu — szepnął markiz — mógł zapomnieć o swem zmartwieniu choć przez kilka godzin.

Podejrzenie nagle nasunęło mi się — chwyciłem lampę, której światło podkręciłem i skierowałem z dołu na twarz starego kłusownika.

— To nie tylko na kilka godzin zapomniał o zmartwieniu — zakrzyknąłem — to na zawsze.

— Co mówisz?

— To, że umarł!

— Umarł!

— Patrz sam.

— To prawda! Nic go milszego nie mogło nad to spotkać, stracił bowiem wszystko, co kochał na świecie.

POLOWANIE NA DZIKI.

(Zdarzenie prawdziwe).

Pan Florjan, ten co siedzi w podatkowej kasie,
Pan Jakób, który dzierży godność dependenta,
I Filip, co na ziołach i pigułkach zna się,
Dzielni to są myśliwi od niedziel i święta

Prawdziwe to Bajardy bez trwogi i skazy,
Choć pozorem rycerskim na oko nie świecą,
Bo pan Florjan na gicht był chory dziewięć razy,
A więc na lewą nogę utyka dziś nieco.

Pan Jakób, że tak powiem, ma słuch nieco krótki,
A Filip dzielny rycerz aptecznego znaku,
Jest mężem wcale gładkim, acz ma błąd malutki,
Gdyż oko przy eksplozyi stracił amoniaku.

Lecz te braki nie mącą wcale ich wesela,
Bo lewem okiem Filip mierzy przy strzelaniu,
Pan Jakób to rzecz jasna, uszami nie strzela,
A Florjan zawsze — z krzesłem jest na polowaniu.

I dzisiaj radość poi ich za wszystkie czasy,
Wszak jutro święty Michał szczęśliwie wypada,
A więc na godzin kilka dadzą nura w lasy,
I pukaninkę sobie urządzą nie lada!

Pan Idzi, druh serdeczny w niejednej potrzebie,
I towarzysz niejednej nocnej pijatyki,
Zaprosił ich gościnnie na jutro do siebie,
Gdzie będzie polowanie z nagonką na dziki.

Rozbij, Zabij i Dobij, — psy pełne nadziei
Kupił w dniach tych pan Idzi na psim gdzieś jarmarku,
I one właśnie jutro po raz pierwszy w kniei
Egzamin mają zdawać na odyńca karku.

Żaden z mych bohaterów nie oglądał dzika,
Chyba że na wystawie w oknie u Schleichera,
Któż więc opisze zapał, który ich przenika,
I męstwo, które dzielne serca ich rozpiera?

Straszliwie im do głowy zajechały dziki:
O dzikach marzy Florjan, gdy zlicza cedułki,
O dzikach marzy Jakób, gdy pisze repliki,
O dzikach marzy Filip, skręcając pigułki!

Drży pani Florjanowa o małżonka życie,
Antyfony śpiewają dziatki Jakóbowe,
A Filip dotąd wzdycha do małżeństwa skrycie,
Sam więc modlić się musi, drżąc o własną głowę.

Zakupiono moc szynki, kiełbas i kiełbasek,
Pan Filip miał wódeczkę apteczną na pieczy,
Smaczniutkiego bigosu wzięto kilka fasek,
I multum innych smacznych i pożywnych rzeczy.

Wreszcie po długiej nocy błysnął świt różowy,
Więc drapią się na fiakra męstwem ożywieni,
Każdy z nich uzbrojony od stóp aż do głowy
— A Filip ma w dodatku truciznę w kieszeni!

Już siedzą, już im każdy powodzenia życzy,
I przestróg też nie szczędzi na wszelki przypadek;
Odjeżdżają — a jutro ze wspólnej zdobyczy,
Będzie wspólny u państwa Florjanów obiadek.

Przyjechali na miejsce; rwetes tam i wrzawa,
Myśliwi i nagonka wylegli już zgrają,
Już na dobre się w lesie rozbiegła obława,
Więc coprędzej przy sobie pod drzewami stają.

Wtem zaszedł fakt szczególny — jakby na znak dany,
Dostali wszyscy razem jakiejś dziwnej drżączki,
I poczęli zębami dzwonić naprzemiany,
O, wcale nie ze strachu — lecz tylko z gorączki!

Za chwilę dawny spokój odzyskali w duszy,
Już pan Filip swe oko wytęża ciekawie,
Pan Jakób, jako może, naciąga swe uszy,
A pan Florjan z krzesełkiem kręci się po trawie.

Nagle — w pobliskiej gąszczy powstał łomot wielki,
I trzy pary się słuchów w zielsku pokazały,
Trzy ogony mignęły skręcone w precelki,
— I z flint trojga przyjaciół trzy padają strzały!

Dzik! krzyknął Jakób strzelbą potrząsając srodze,
Dzik! krzyknął Filip dzielny z ogniem w jednym oku,
Dzik! krzyknął Florjan, skacząc na swej zdrowej nodze...
— Pies! ryknął wściekły Idzi, nadbiegając z boku.

Tak pies to był zaiste, a raczej psów troje,
Rozbij, Zabij i Dobij wywinęły młyńca
I życiem przepłaciły powołanie swoje,
Nie zdawszy egzaminów na karku odyńca!

I pocóż wam Idziego kreślić smutek rzadki,
Pocóż kreślić jak miota nim wściekłość i zgroza?
Dość, że nasi Nemrodzi zebrali manatki
I zmykali co prędzej dorwawszy się woza...

O czem i jakie w drodze wiedli rozgowory,
Zamilczeć Muzie mojej niechaj danem będzie,
Nie wiem też, jakie miny mieli i humory,
Gdy ich o przebieg łowów pytano się wszędzie.

To pewne, że nazajutrz u pana Florjana,
Żadnej wspólnej biesiady już nie urządzano,
Choć pan Idzi nadesłał zaraz jeszcze zrana
Zwierzynę przez nich dzielnie tak upolowaną.

Lecz na tem mej powieści, nie jest koniec jeszcze,
— Pan Idzi tą się zemsta nie pocieszył wcale,
I jako dziś języki szeptają złowieszcze:
— Wnosi na swych przyjaciół skargę w kryminale!

Franciszek Konarski.

Korespondencye.

Gródek ostroszycki, (pod Mińskiem).

Walka z niedźwiedziem.

Jan Kawziel, gospodarz ze wsi Dobrego Płosa, poszedł w niedzielę, d. 1. grudnia, do lasu, aby ściąć potajemnie kilka drzewek, których potrzebował na sanie. Myślał widocznie, że leśnego w niedzielę w lesie nie będzie, a nie przeczuwał, że kto inny w jego zastępstwie lasu strzec będzie. Śniegu jeszcze nie było. Upatruje sobie jedno drzewko odpowiednie i zaczyna robotę. W tem coś poruszyło się w gąszczu — słychać ciężkie stąpania, sapanie i chrzest łamanych gałęzi. Chłop staje i patrzy wystraszony. Nagle o kilka kroków wychodzi z krzaków... niedźwiedzisko. Staje na tylne łapy i idzie wprost ku amatorowi cudzego drzewa, jakby go chciał na powitanie uścisnąć. Chłopu włosy na głowie powstały z przerażenia. Widzi niechybną śmierć przed sobą — nie traci jednak przytomności i oddawszy się Bogu w myśli, rzuca się z rozpaczliwą odwagą na zwierza z jedyną bronią, jaką miał przy sobie, to jest z lichym i małym toporkiem. Niedźwiedź wyciągnął łapy do uścisku, a chłop w tej chwili ciął go toporkiem z całej siły w otwartą paszczę. Posoka trysnęła, zwierz i człowiek chwycili się za bary. Chwilę się zmagali — w końcu runęli obaj na ziemię. Niedźwiedź zaczął po swojemu dusić chłopa, zapuszczając mu w ciało kły i pazury. Ale chłop nie wypuścił z ręki toporka, lecz zastawiał się mu jak mógł, aż w końcu, upatrzywszy stosowną chwilę, wepchnął mu w gardziel toporek z całej siły i zapchał głęboko. Niedźwiedź podskoczył w górę po takim poczęstunku i ryknąwszy przeraźliwie uciekł w gąszcze. Chłop podniósł się z ziemi i cały krwią zbroczony powlókł się do domu. Wszyscy przerazili się na jego widok nie mogli się go jednak o nie dopytać, gdyż przez całą dobę nie mógł biedak nic przemówić. Plecy i lewą rękę miał strasznie pokaleczone. Dopiero na drugi dzień odzyskał mowę i opowiedział swoją przygodę — ale sił już nie odzyskał. i na czwarty dzień po wypadku zakończył życie.

Andrzej Popowicz.

Zestawienie

powierzchni kraju, stosunków łowieckich, przeciętnej wartości ubitej zwierzyny, personalu łowieckiego na podstawie dat statystycznych, zebranych przez c. k. ministerstwo rolnictwa w peryodach 1875, 1880, 1885, 1890 i 1895.

Kraje	Powierzchnia kraju: Razem w km²	Rewiry według stanu z r. 1895: Liczba samoistnych rewirów łowieckich	Obszaru (Hektarów): 115 do 172	173 do 230	231 do 287	288 do 575	576 do 1150	nad 1150	Wartość zwierzyny na 1 km² z przecięcia lat 1870—1895 (5-cio letnie peryody) w koronach	Na 100 km² padło w tym czasie (Sztuk): jelenie	daniele	sarny	kozice	głusz.	cietrz.	bażan.	zające	kurop.	Personal łowiecki przeciętny z 5-cio letnich okresów od 1875—1895 (Personal): w samoistnych rewirach	w niesamoistnych rewirach	Razem
Półn. zach. kraje																					
Czechy	51.948	6.333	1.045	936	783	1.984	1.042	391	34 38	3	3	19	—	1	7	90	826	964	6.601	1.772	8.373
Morawa	12.221	1.776	376	221	199	452	325	172	36.43	3	2	29	—	—	1	102	1020	783	2.282	1.264	3.546
Szląsk	5.146	254	57	27	25	86	38	18	22.11	6	—	30	—	—	—	50	534	316	659	302	961
Suma . .	79.315	8.463	1.478	1.184	1.007	2.522	1.405	581	34.16	4	3	23	—	1	5	91	860	870	9.542	3.338	12.880
Półn. wsch. kraje																					
Galicya	78.497	5.566	881	690	685	1.485	1.037	786	3.70	—	—	6	—	—	—	1	60	16	6.317	1.453	7.770
Bukowina	10.451	586	75	49	28	125	140	169	1.86	—	—	2	—	—	—	—	28	1	675	20	695
Suma . .	88.948	6.152	956	739	713	1.610	1.177	955	3.48	—	-	5	—	—	—	1	56	14	6.992	1.473	8.465
Kraje naddunajskie																					
Dolna Austrya	19.824	883	347	125	83	164	83	69	45.48	8	1	50	1	1	1	109	1154	766	1.020	1.018	2.038
Górna „	11.985	236	86	32	15	40	22	35	28.17	8	—	60	4	2	—	89	403	279	401	402	803
Suma . .	31.808	1.119	433	157	98	204	105	104	38.96	8	—	53	2	1	—	101	869	581	1.421	1.420	2841
Kraje alpejskie																					
Salcburg	7.152	610	196	90	71	112	65	75	11.38	5	—	21	18	3	4	4	5	10	265	135	400
Tyrol z Voralbergiem	29.288	1.380	266	159	98	227	239	390	4.77	1	—	4	6	2	5	—	45	8	1.072	403	1.475
Styrya	22.427	983	388	172	91	163	84	74	20.92	9	—	33	8	5	4	50	248	145	665	2.227	2.892
Karyntya	10.327	508	284	60	42	52	39	27	9.62	4	—	25	4	4	4	—	64	11	302	404	706
Kraina	9.958	169	55	26	20	41	13	13	4.37	—	—	13	1	1	—	5	76	11	428	549	977
Suma . .	79.152	3.650	1.189	507	322	595	440	579	10.53	4	—	18	7	3	4	14	110	48	1.732	3.718	6.450
Kraje Pobrzeża																					
Tryest, Gorycya i Istrya bez Dalmacyi																					
Suma . .	7.966	116	21	12	11	26	32	14	6.29	—	—	3	—	—	—	2	181	61	107	394	501
Austrya (bez Dalmacyi)																					
Suma ogólna . .	287.189	19.500	4.077	2.599	2.151	4.957	3.159	2.233	17.90	3	1	19	2	1	3	40	386	324	20.794	10.343	31.137
Według wykazów statystyki z r. 1895																			22.173	11.085	33.258

Sprawozdania łowieckie.

Wykaz

cietrzewi zabitych na polowaniach w Derewni, u p. Tadeusza Starzyńskiego w czasie tegorocznego toku.

Myśliwi	zabił sztuk
J. Kr. Wys. Don Pedro Ks. Orleans-Braganza	3
Stanisław hr. Stadnicki	4
Andrzej ks. Lubomirski	3
Franciszek hr. Czosnowski	2
Stanisław hr. Mycielski	1
Stefan hr. Szembek	1
Gospodarz	6
Razem	20

Sprawy Towarzystwa.



Dnia 25 maja odbyło się posiedzenie komitetu urządzającego strzelanie premiowe, pod przewodnictwem JE. Korytowskiego. Obecni członkowie komitetu: Pp. hr. Bielski, Hamerski, Klusik, Krogulski, Dr. Miziewicz, Oczosalski, Dr. Solowij. Urządzenie strzelnicy poruczono pp. Hamerskiemu i Klusikowi. Strzelania pań do dłuższej dyskusyi postanowiono tego roku nie wstawiać w program. Wniosek p. Oczosalskiego o wprowadzenie do programu strzelania z pistoletów, poparty przez p. Klusika, i Exc. Korytowskiego uchwalono na następujących warunkach: pistolety ciągnięte — meta 25 kroków — tarcza do 4 ctm. średnicy — 5 strzałów. Ponieważ na wniosek Exc. Korytowskiego będą fungować dwie komisye sędziów, wstawiono strzelanie z pistoletów równocześnie z strzelaniem do ruchomej tarczy, przedstawiającej lisa. Nagrody zgłosili ci sami ofiarodawcy jak i w roku zeszłym — oprócz tego zgłosiło się Towarzystwo lisowieckie i Towarzystwo belskie z chęcią udzielenia nagrody, *który to fakt, godny naśladowania, komitet przyjął z uznaniem do wiadomości*. Po rozprawie nad wnioskiem p. Krogulskiego, w sprawie ograniczenia prawa brania udziału w niektórych strzelaniach tylko dla członków Towarzystwa, po której uchwalono trzymać się tej samej praktyki, jak w latach zeszłych, zakończono posiedzenie komitetu, pozostawiając dalszą pracę nad urządzeniem strzelania według danych przez komitet wskazówek pojedynczym członkom komitetu, pomiędzy których pracę te rozdzielono.

Prosimy uprzejmie PP. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładki za r. 1901, by należytość tę raczyli jak najrychlej nadesłać, a to z powodu, iż musimy Walnemu Zgromadzeniu złożyć drukowany rachunek z uiszczonych wkładek.

Administracya „Łowca“.

Kalendarz łowiecki.



Czerwiec — toć idą noce świętojańskie,
Najkrótsze w roku, więc kto tam gwiazd pyta,
Gdy zorze takie świetlane i pańskie,
Że jedna żegna, a druga już wita.
Jasny robaczek co się porwie z darnia,
Lub z wonnych krzewów wypełznie po mroku,
To wdzięczna nocy czerwonej latarnia,
A i większego od gwiazdy uroku.
Jednak, jeżeli znajdziesz taką chwilę,
Gdy paproć kwitnie gdzieś na nocy krótkiej,
Między zorzami a ogniem sobótki,
Że nawet gwiazdy ponęcą cię mile,
To oko twoje na Niedźwiadku stanie,
Który się teraz na południu jadzi;
I Łabędź spłynie po ciepłym limanie,
A koń skrzydlaty już od wschodu sadzi.
Łabędź i Pegaz, to gwiazdy natchnienia,
I noc co daje pół świata, pół cienia,
Niech będzie święta w służbie Apolina,
Niech Łabędź płynie i Pegaz się wspina.
A na łabędzia patrzy Andromeda,
Gdy przy niej staje wdzięczna Kassjopeja,
Wówczas już świeci dla ciebie nadzieja,
Miły myśliwcze, — bo Strzelec na niebie
Z napiętym łukiem zjawia się dla ciebie...

. . . .

Powoli, lecz zbliża się już czas, w którym odpoczywająca dotychczas broń myśliwska, do nowych powołaną będzie zapasów.

Już od połowy maja wolno było strzelać do rogaczy — bardzo wielu myśliwych nie korzysta jednak w maju z tego pozwolenia — w czerwcu jednak warto już z rogaczem się spotkać, bo już i sukienkę przybrał czerwoną i rogi ma wytarte i dorodne.

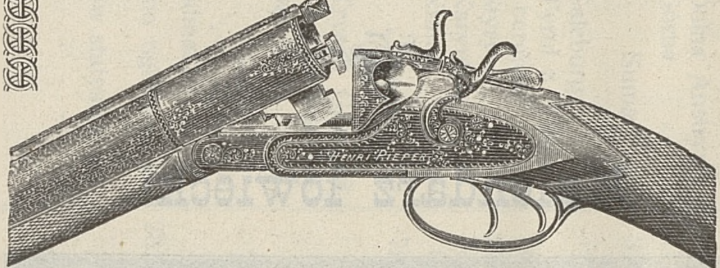
W czerwcu wolno strzelać rogacze, a od połowy ptactwo wodne.

W czerwcu przypada zjazd łowiecki.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka
broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:
Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyńcze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Coletha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

C. k. uprz.

FABRYKA MASZYN ODLEWARNIA I KOTLARNIA

„PERKUN“

Spółka komandytowa Ferdynanda Pietzsch'a

FABRYKA MASZYN WE LWOWIE

ul. św. Marcina l. 11. Biuro techn.: Kopernika 18.

FABRYKA NARZĘDZI ROLNICZYCH I SKŁAD FILIALNY
w Rzeszowie ul. Sobieskiego.

Urządza kompletne tartaki, młyny wodne i parowe, gorzelnie. Urządza światło elektryczne, przenoszenie siły, gromochrony, centralne ogrzewalnie i wodociągi.

Bibułka odznaczona najwyższą nagrodą na wystawie światowej w Paryżu 1900. oraz złotym medalem na wystawie przyrodn.-lekarsk. w Krakowie 1900

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych oraz tutek cygaretowych

„NORIS“

Władysława Bełdowskiego

magistra farmacyi i chemika w Krakowie.

Dla łatwego wyboru tutek polecam:

Tutki białe „Noris“
„ „ „ z watą
„ kukurydzowe „Maïs Numa“
„ „ „Maïs Albert“ } do tytoniów lekkich specyaln.
„ „ „Maïs de Paris“
„ „ „Maïs Wallis“
„ egipskie „El Maur“
„ „ „Offic. Club“. } do tytoniów specyalnych

Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie okazy tutek

Idąc z postępem i rozwojem przemysłu i chcąc zaspokoić wszelkie wymagania P. T. palących papierosy, wprowadziłem tutki „NORIS“ udoskonalone, tem się odznaczające, że papieros zapalony **nie gaśnie szybko, nie naciąga tłuszczem, a wskutek tego, całego papierosa można smacznie wypalić.**

Wogóle zwracamy uwagę na **tutki białe „NORIS“ i kukurydzowe**, odznaczają się bowiem chłodnym i łagodnym dymem, nie wpływają ujemnie na **zmianę smaku i zapachu tytoniu**, a to jest ich bardzo wysoką zaletą, **że nie drażnią krtani i nie pobudzają wskutek tego do kaszlu.**

Liczne uznania, jakie odbieram, są najlepszym dowodem niepospolitej jakości moich wyrobów.

Do nabycia we wszystkich handlach i trafikach.

Wyłączny skład na Lwów i wschodnią Galicyę: W składzie osobliwszych gatunków tytoniu i cygar, ulica Karola Ludwika.

Z wysokim poważaniem

WŁ. BEŁDOWSKI, magister farmacyi i chemik.

Poselska 20.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.